

Witold Bugajny

W Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie

Przegląd Historyczno-Wojskowy 12 (63)/5 (238), 163-170

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W MIĘDZYNARODOWEJ KOMISJI NADZORU I KONTROLI W WIETNAMIE

27 stycznia 1973 roku miało nastąpić podpisanie porozumień paryskich kończących wieloletnią wojnę w Wietnamie Południowym, tym razem pod egidą Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ustalony termin został dotrzymany i podpisanie porozumień stało się faktem. Na ich podstawie doszło do zawieszenia broni i podpisania rozejmu pomiędzy walczącymi stronami: oddziałami Republiki Wietnamu, zwanej wówczas pogardliwie administracją lub reżimem sajgońskim, i sprzymierzonymi z nimi wojskami Stanów Zjednoczonych Ameryki a oddziałami powstańczymi Republiki Wietnamu Południowego, reprezentowanej przez Tymczasowy Rząd Rewolucyjny, działający na terenach wyzwolonych. Nadzór nad realizacją porozumień powierzono nowej Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli, która miała zastąpić działającą dotychczas komisję.

Zanim do tego doszło, w ciągu trzech dni zmobilizowano pierwszą grupę kontyngentu oficerów Wojska Polskiego i cywilów, która z ramienia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej miała wejść w skład Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli. Należałem do pierwszej grupy i miałem pełnić funkcję pomocnika doradcy politycznego (doradcą był wówczas Stanisław Stawiarski). Chodziło o to, aby przynajmniej pierwsza grupa przedstawicieli Polski w komisji zjawiła się w Wietnamie w momencie podpisania porozumień.

Samolot czarterowy Polskich Linii Lotniczych wyleciał z Warszawy w ustalonym terminie i nic nie wskazywało na to, że wystąpią przeszkody uniemożliwiające terminowe przybycie do celu. Pierwsze kłopoty wystąpiły już w Moskwie. Okazało się, że samolot dalej nie poleciał, ponieważ wykryto poważny defekt maszyny, i kilka godzin musieliśmy jednak spędzić w poczekalni dworca lotniczego. W tym czasie odwiedzali nas jacyś przedstawiciele ówczesnych władz radzieckich. Zjawili się też pracownicy Ambasady Demokratycznej Republiki Wietnamu (Wietnamu Północnego) w Moskwie, którzy przynieśli nam puszki z konserwowanym ananasem. Częstowali. Przynieśli to, co mieli. Wiadomo przecież, że biedny kraj ma niewiele do podarowania. Częstując nas tak serdecznie, pozyskali naszą sympatię.

Na pokładzie nowo przybyłego samolotu udaliśmy się w dalszą drogę. Na kilka godzin zatrzymaliśmy się w Taszkencie, stolicy Uzbekistanu. W mieście widać było jeszcze ślady niedawnego kataklizmu – trzęsienia ziemi. Nadal trwało usuwanie zniszczeń. W centrum wzniesiono już kilkanaście monumentalnych budynków, m.in. dla rządu i parlamentu. W jednym z nich mieściło się muzeum kultury materialnej, które z zainteresowaniem zwiedzaliśmy. Byliśmy zdumieni widokiem parterowych chat zbudowanych z gliny i chrustu, które stały wzdłuż szerokich ulic na obrzeżach miasta, nietknięte trzęsieniem. Były one ze sobą ściśle połączone, jakby do siebie przyklepione. Być może oparły się kataklizmowi dzięki swojej lekkości i zwartej zabudowie.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, nasz samolot wylądował na rozległym lotnisku jednego z miast pakistańskich. Jego nazwy już nie pamiętam. Wylądowaliśmy na krótko.

Wysiedliśmy z samolotu, żeby rozprostować kości i rozruszać mięśnie. I wówczas zaskoczył nas niecodzienny widok. W odległości około 50 m pakistański żołnierz, zapewne przydzielony do ochrony lotniska, spał, siedząc oparty o słup lampy oświetleniowej. Owszem, był uzbrojony, lecz karabin miał przywiązany... sznurkiem do nogi. Zbudził go dopiero hałas, jaki powstał wokół naszego samolotu. Chociaż widział znaczną grupę ludzi ubranych w nieznane mu z pewnością mundury, nie reagował. Nikt z nas również nie dawał mu jakiegokolwiek pretekstu.

W Hanoi podejmowali nas uroczystym poczęstunkiem przedstawiciele Demokratycznej Republiki Wietnamu. Byliśmy więc w Wietnamie, ale jeszcze nie w jego południowej części. Dopiero wieczorem, jeszcze tego samego dnia, samolot wylądował w Sajgonie. Gdy samolot wytracił szybkość i zatrzymał się, otoczył go kordon policji sajgońskiej. Schodziliśmy z pokładu oślepieni światłem reflektorów. Zrozumiliśmy, że nie jesteśmy tu pożądanymi i oczekiwanymi gośćmi. I trudno się dziwić, skoro ówczesne nasze władze nie darzyły sympatią elit rządzących Wietnamem Południowym i nie utrzymywały z tym państwem żadnych stosunków dyplomatycznych. Stały temu na przeszkodzie zasadnicze różnice ideologiczne i polityczne. Podstawionymi autobusami zostaliśmy przewiezieni do miejsc zakwaterowania – jedni w hotelach, inni w lotniczej bazie amerykańskiej Tan Son Nhut na obrzeżach Sajgonu.

Pierwsze dni pobytu przeznaczone były na aklimatyzację. Szczególnie dotkliwie były upały. W dzień dokuczało pragnienie, w nocy moskity. Amerykanie mieli opuścić Wietnam w ciągu trzech miesięcy od podpisania porozumień paryskich. Z niecierpliwością oczekiwali powrotu do swego kraju. Żołnierze i oficerowie popadali w euforię, opanowała ich niezwykła radość. Mieli już dość wojny, moskitów, malarii i spiekoty. Radości dawali upust w picciu, chóralnym śpiewie i uciechach. Żałowali jedynie uroczych dziewcząt wietnamskich, z którymi byli związani niekłamanym uczuciem. W stosunku do nas byli wylewni, życzliwi i gościnni. Gdy opuścili bazę Tan Son Nhut, zajęliśmy po nich kwatery – wygodne i klimatyzowane. Od tego czasu warunki nasze poprawiły się całkowicie.

Będąc pomocnikiem doradcy politycznego, pracowałem w sztabie mieszczącym się w centrum miasta. Jako prawnik z zawodu należałem do zespołu osób stanowiących komórkę prawną. Naszym zadaniem było tłumaczenie, analiza i opracowywanie wniosków na podstawie codziennych raportów, które napływały od grup regionalnych, a dotyczyły incydentów zbrojnych. Były one przygotowane dla kierownictwa naszego przedstawicielstwa celem przedstawienia polskiego punktu widzenia na posiedzeniach komisji, które odbywały się dwa razy w tygodniu z udziałem przewodniczących wszystkich delegacji narodowych. Praca wymagała pośpiechu. Na każde posiedzenie komisji należało przygotować stosowny materiał. Przed każdym posiedzeniem udzielał się nam nastrój napięcia i zdenerwowania. Podgrzewał go Michał Herman, kierownik komórki prawnej. Jego poczucie odpowiedzialności udzielało się pozostałym. Trudy dnia powszedniego rekompensowaliśmy sobie w niedzielę i święta. Wsiadaliśmy wtedy do autokaru komisji i jechaliśmy do Wung Tau – nadmorskiej miejscowości lotniskowej i rekreacyjnej, gdzie wypoczywaliśmy, zażywając kąpeli morskich i słonecznych.

Pracę komisji warunkowała sytuacja panująca w terenie. Zawarcie rozejmu nie rozwiązywało problemu. W kraju codziennie dochodziło od kilkunastu do kilkudziesięciu krwawych incydentów. Strony nie zaniechały całkowicie walk. Nadal lała się krew, tu i ówdzie toczyły się regularne bitwy z udziałem artylerii i lotnictwa. Zmagały się całe kompanie i bataliony. Niekiedy dochodziło do aktów zbrodniczych, bo jak inaczej nazwać wrzucenie

granatu do klasy szkolnej i zabicie kilkanaściorga dzieci lub wymordowanie pod osłoną nocy całej licznej rodziny wójta i podpalenie jego zabudowań.

Pod ogień artylerii dostawały się również niektóre grupy kontrolne komisji, często świadomie lokowane w pobliżu ważnych obiektów strategicznych. Pamiętam, że płk Wieczorek (obecnie generał w stanie spoczynku), szef jednej z grup regionalnych, meldował sztabowi: „Od tygodnia jesteśmy ostrzeliwani ogniem artylerii. Nawet na chwilę nie możemy opuścić schronu, a kończą się nam zapasy żywności”. Trzeba było interweniować na szczeblu kierownictwa komisji. Nie było to najtragiczniejsze zdarzenie, to miało dopiero nastąpić.

Realizując swój program działania, komisja postanowiła zainstalować lokalną grupę kontrolną na terenie wyzwolonym przez oddziały wyzwolenicze Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego Republiki Wietnamu Południowego. W tym celu dokonano niezbędnych przygotowań. Członkowie grupy, w tym dwóch Polaków (ppłk Piątek i kpt. Sobieraj), mieli lecieć dwoma śmigłowcami pilotowanymi przez doświadczonych amerykańskich pilotów wojskowych. Wyznaczeni zostali oficerowie łącznikowi obydwu stron oraz tłumacze. Śmigłowce miały lecieć nad wyznaczoną drogą szlakiem o szerokości 6 km. W punkcie rozwidlenia dróg miały skrócić i lecieć dalej nad jedną z nich. Maszyny wystartowały i leciały zgodnie z planem, aż do owego rozwidlenia. Tu wybrały jednak niewłaściwą drogę. Przeleciały jeszcze około 20 km i nagle pierwszy z lecących śmigłowców trafiony został rakieta. Spadł na ziemię i roztrzaskał się. Pilot drugiego śmigłowca, widząc co się stało, sprowadził maszynę do lądowania i uniknął losu pierwszego. Z trafionej maszyny nikt nie ocalał. Wśród członków komisji zapanował nastrój przygnębienia. Wszystko wskazywało na to, że wśród zabitych znajduje się przynajmniej jeden Polak. Wynikało to z planowanego rozmieszczenia oficerów w poszczególnych śmigłowcach. Później okazało się, że przed wylotem, w wyniku koleżeńkiego porozumienia, obydwaj Węgrzy postanowili lecieć razem pierwszym śmigłowcem, obydwaj zaś Polacy – drugi. Niefortunna dla Węgrów zamiana zakończyła się śmiercią obydwu. Polacy mogli mówić o ogromnym szczęściu – obydwaj przeżyli. Następnego dnia specjalnym samolotem zwłoki poległych, po identyfikacji, zostały przywiezione do Sajgonu.

Grupa regionalna w Hue, dawnej stolicy cesarskiej Wietnamu, rozpoczęła prace nad ustaleniem przyczyn i okoliczności zdarzenia. Przedstawiciele polskich reprezentowali nieżyjący już dziś płk Barcikowski i jego zastępca ppłk Rojek. Asystował im polski tłumacz. Doradca polityczny polecił mi wziąć udział w tych czynnościach. Szef przedstawicielstwa polskiego, min. Wasilewski, uznał, że jako prawnik powinienem służyć naszym przedstawicielom uwagami dotyczącymi śledztwa. Tak też się stało. Polecałem. Z przesiadkami dotarłem do celu jeszcze tego samego dnia. Trwały przesłuchania i rozmowy. Grupa nie była jednomyślna co do przyczyn katastrofy i raport z rozbieżnościami przekazała do sztabu w Sajgonie. Polska i węgierska delegacja obstawały przy twierdzeniu, że przyczyną tragedii było zderzenie się helikoptera ze zboczem góry, podczas gdy delegacje pozostałych państw uważały, że maszyna została zestrzelona rakieta ziemia–powietrze przez wojska Frontu Wyzwolenia Narodowego. Tak w istocie było, ale delegacje państw socjalistycznych musiały wówczas kierować się wytycznymi Moskwy.

Nic nie stało na przeszkodzie, żeby przyznać, że śmigłowiec został zestrzelony. Wszak niepodważalny był fakt, że helikoptery zboczyły z ustalonej trasy. A skoro tak, to żołnierz, który odpalił raketę, nie mógł wiedzieć, że ma do czynienia z misją o charakterze rozjemczym. Brak

bieżącej łączności i ewidentny błąd pilotów amerykańskich stały się faktyczną przyczyną tragedii. W tym przypadku sprawę można było zakończyć, przekazując wyrazy ubolewania.

Hue od granicznego wówczas miasta Quang Tri dzieli około 100 km. Będąc w stolicy cesarskiego Wietnamu, miałem okazję widzieć ruiny tego miasta. Amerykańskie bombardowania zamieniły miasto w zwały gruzów, pozostały jedynie scalone konstrukcje budynków, zwoje jakiejś blachy, stopy sztucznej dachówki. Nie było ani jednego całego domu, ani jednego całego fragmentu budynku. Na gruzach tych nie było widać śladów jakiegokolwiek życia. Kto widział bezpośrednio po wojnie gruzy warszawskiego getta, ten łatwiej może wyobrazić sobie obraz tamtego miasta. Hue leżało nad rzeką Thach Han. Po jej drugiej stronie obozowały wojska Wietnamu Północnego.

Droga z Hue do Quang Tri to krajobraz po bitwie, dosłownie i w przenośni. Po obydwu jej stronach rozlokowane były jednostki wojskowe. Co kilka kilometrów drogę patrolowały stacjonarne posterunki kontrolne. Na jezdni ustawione były beczki wypełnione piachem, a na poboczach zwoje drutu kolczastego. W tych miejscach pojazdy zmuszone były zwalniać biegu, poruszając się slalomem. W ten sposób posterunki realizowały kontrolę ruchu drogowego. Po obydwu stronach drogi zalegały stopy łusek od pocisków artyleryjskich i wraki pojazdów mechanicznych. To ślady walk stoczonych przez wojska sajgońskie i amerykańskie z oddziałami Frontu Wyzwolenia Narodowego i wojskami pancernymi Wietnamu Północnego nacierającymi na miasto Hue. Należy przypomnieć, że do miasta dotarły niewielkie grupy nacierających, które zdołały obsadzić mury cytadeli, lecz po kilkunastu dniowych walkach zostały zlikwidowane.

Nasze polityczne zaangażowanie, podobnie jak delegacji węgierskiej, po stronie Frontu Wyzwolenia Narodowego Republiki Wietnamu Południowego musiało spowodować nieprzychylny do Polaków i Węgrów stosunek rządu sajgońskiego. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Pewnego dnia przed siedzibą sztabu komisji pojawiła się grupa demonstrantów. Jej wystąpienia miały charakter antypolski i antywęgierski. Wznoszono wrogie okrzyki, wymachiwano transparentami. Trwało to około pół godziny. Pokrzyczano, pomachano, po czym zgromadzeni rozplnęli się w zaułkach pobliskich ulic. Szkód nie wyrządzono. Nadal sprzyjaliśmy Frontowi Wyzwolenia Narodowego. Przebieg demonstracji nie wskazywał na jej spontaniczność, jej reżyseria zaś nie była najwyższego lotu.

Sajgon – stolica ówczesnego Wietnamu Południowego, siedziba sztabu komisji. Miasto przypominało wówczas obóz warowny. Na rzece o takiej samej nazwie, przepływającej leniwie przez miasto, usytuowany był port wojenny. Przy nabrzeżach cumowały okręty wojenne. Ważniejsze obiekty strzeżone były przez posterunki wojskowe. Otaczały je mury, zwoje drutu kolczastego, worki wypełnione piaskiem, a na nich usytuowane były karabiny maszynowe. Na obrzeżach stolicy, w bazie Tan Son Nhut, stacjonowały pancerne i lotnicze wojska amerykańskie i sajgońskie. Baza stanowiła samodzielny i samowystarczalny kompleks. W jej obrębie znajdowała się elektrownia, koszary dla żołnierzy i klimatyzowane pomieszczenia mieszkalne dla kadry oficerskiej, dwa kościoły, kasyno dla oficerów i oddzielne dla podoficerów, wreszcie... osiem domów publicznych. Nie wspominam o rzędach samolotów transportowych i helikopterów (każdy w betonowym boksie). Podobny charakter miały także inne miasta i bazy wojskowe.

Sajgon w czasie stacjonowania Amerykanów przeżywał okres rozkwitu. Ameryka utrzymywała z Wietnamem Południowym nieprzerwany most powietrzny, dostarczając codziennie samolotami zapasy świeżej żywności, napojów, środków higieny osobistej, środków czystości itp. Dostawy były wprawdzie przeznaczone dla armii amerykańskiej i sajgońskiej, ale sporo z tego przenikało na rynek wewnętrzny, m.in. dzięki bliskim kontaktom żołnierzy amerykańskich z wietnamskimi dziewczętami. Stan ten trwał do czasu ewakuacji wojsk amerykańskich. Wkrótce potem na rynku wystąpiły trudności, ceny z dnia na dzień rosły, pustoszały stragany uliczne w bazie Tan Son Nhut, domy publiczne przestały przyjmować klientów i całkowicie opustoszały.

Wcześniej, podczas pobytu w podobnej komisji w Królestwie Laosu zaprzyjaźniłem się z płk. Marianem Szumowskim. Po latach los zetknął nas w Wietnamie. Razem spędzaliśmy wolne chwile. Zwiedzaliśmy miasto, robiliśmy zakupy, odwiedzaliśmy znajomych mieszkających w hotelach, odbywaliśmy spacer. Miasto liczyło wówczas... około 3 mln mieszkańców.

Ślady długoletniej wyniszczającej wojny widoczne były wszędzie. Wspomniałem o ruinach miasta Quang Tri. Przy tym ze śmigłowca czy samolotu widać było linie lejów w rzadszych partiach dżungli i na otwartej przestrzeni po bombardowaniach dywanowych. Na ulicach inwalidzi wojenni, bez środków do życia, żeby przeżyć, musieli żebrac.

Pewien obrazek utrwalił się mocno w mojej pamięci. Oto na jednej z ulic Sajgonu, przy budynku mieszczącym pewną instytucję amerykańską, pojawiał się codziennie młody inwalida w mundurze żołnierza sajgońskiego. Nie miał obydwu dłoni. Zarabiał na życie w ten sposób, że ułatwiał samochodom amerykańskim wyjazd z posesji na ulicę. Najbardziej makabryczne były widoki w czasie wymiany jeńców między walczącymi do niedawna stronami: bez rąk, bez nóg, ślepe i oszpecone ludzkie kadłuby. To żołnierze Frontu Wyzwolenia Narodowego przy pomocy innych osób opuszczali sajgońskie obozy jenieckie z nienawiścią w oczach i pogardą dla tych, którzy im ten los zgotowali, dla lotników amerykańskich.

Napór wojsk Frontu Wyzwolenia Narodowego sprawił, że wojsko sajgońskie strzegło nieprzerwanie nawet najmniejszych obiektów o znaczeniu strategicznym. Chroniony był każdy, nawet najmniejszy most. Patrole wojskowe Republiki Wietnamu codziennie kontrolowały swoje terytorium. Przeczesywano zarośla, plantacje bananowców i kauczukowców. W trakcie tego dochodziło do potyczek i krwawych starć. Tereny były minowane, przeważnie nocą. Na nich wylatywały w powietrze pojazdy wojskowe i cywilne, ginęli żołnierze i cywile. Chłop, wychodząc do pracy w polu, nie miał pewności, czy powróci do domu. Każde jego stąpienie mogło być ostatnie.

Różnice w poziomie życia Wietnamczyków widoczne były na każdym kroku, na przykład motoryzacja. W Wietnamie Północnym dominowała wówczas komunikacja rowerowa, natomiast do Wietnamu Południowego wielkim krokiem wkraczała motoryzacja. Przewodowała pod tym względem stolica. Nadchodziło nowe. Owo nowe zderzało się ze starym, wypierając je w sposób bezwzględny. Na ulicach Sajgonu coraz rzadziej widziało się rykszę, a jeszcze rzadziej napędzaną siłą ludzkich mięśni. Tempo życia w mieście było niezwykle szybkie. Od samego rana do godziny policyjnej ulicami sunęły sznury różnych pojazdów, nowych i zdezelowanych – samochodów, motocykli, motorowerów, przeważnie produkcji japońskiej. Tłoczno było od pojazdów i przechodniów. Na jezdniach tworzyły się olbrzymie korki, a nad nimi unosiły się chmury duszących spalin, które drażniły gardło i oczy.

Przepisy miejscowe nie ograniczały liczby przewożonych osób. Nic zatem dziwnego, że do pojazdu wchodziło tyle osób, ile mógł pomieścić. Któregoś dnia sprawił mnie w zdumienie samochód osobowy przewożący jedenaście osób (jedenastą w bagażniku).

W centrum Sajgonu, podobnie jak w innych miastach wietnamskich, zderzały się bogactwo z ubóstwem, przepych z nędzą. Ekskluzywne sklepy, przeważnie miejscowych milionerów, były ulokowane przy głównych ulicach miasta – Le Loi, Tu Do, Nguyen Hue. Ich wystawy świeciły blaskiem wyrobów ze złota, misternie wykonanych, o wysokich walorach artystycznych. Inne sklepy oferowały wyroby ze srebra, jeszcze inne – zegary i zegarki, wyroby elektrotechniczne i radiotechniczne. Tu firmy z całego świata toczyły walkę o wpływy. Znakomicie prezentowały się sklepy fonograficzne i pamiątkarskie, zwłaszcza wyroby z laki i ceramiki. Piękne tkaniny sprowadzane były niemal z całego świata. Wszystko tak piękne, że można było kupować „w ciemno”. Trzeba było mieć jednak za co. Ceny były wysokie, a zarobki niskie. Taniej można było kupować na bazarach i ulicznych straganach, ale z tym wiązało się ryzyko. Można było kupić towar gorszego gatunku, a na dodatek przepłacić. W zasadzie nie było stałych cen. Niemal wszędzie należało się targować. Sprzedawca podawał zazwyczaj klientowi wstępną cenę dwukrotnie lub nawet trzykrotnie wyższą. Oferowano towar w sposób natrętny, czasem wręcz agresywny. Przy tym najbardziej natrętne były dzieci sprzedające gazety i różne gadżety. To one najczęściej brały klienta „na zmęczenie”. Odnosiło się to zwłaszcza do cudzoziemców. Za takim klientem mały sprzedawca chodził krok w krok – jak cień – i wypychał mu oferowany towar. Wobec natręta nie skutkowały ani groźby, ani prośby. Wreszcie wyczerpany klient kupował daną rzecz, choć nie była mu ona potrzebna, byle tylko uwolnić od swego „prześladowcy”.

Na ulicach spotykało się wielu żebraków. O wsparcie prosili tak dorośli, jak i dzieci. Przyczyną zjawiska było ubóstwo i niedostatek. Na wojnie jedni się wzbogacili, a inni stracili dorobek całego życia i stali się nędzarzami. Wśród żebraków mnóstwo sierot i półsierot, którym wojna zabrała obydwoje lub jedno z rodziców. Na chodnikach kalekie dzieci, najczęściej po doznanych urazach. Żebracy oblegali miejsca najbardziej uczęszczane – pocztę, hotele, bogatsze sklepy itp. Byli bardzo natarczywi, szczególnie wobec cudzoziemców. Chwyтали ich za kieszenie, rękawy i torby, nie dawali spokoju. Najtrudniej było dokonać zakupów. W takiej sytuacji zwykle zjawiał się jeden żebrak, potem drugi, trzeci... dziesiąty. Wkrótce cały tłum otaczał kupującego, utrudniając mu dokonanie transakcji. W takich warunkach najłatwiej było coś wyżebrać lub ukraść, bo tamtejszy żebrak miał się każdego sposobu. Wśród ogromnej rzeszy nędzarzy zdarzali się cwaniacy, którym zależało na wyłudzeniu kilku piastrow, bynajmniej nie na żywność. Na groteskę zakrawało zachowanie jednego z chłopców, dobrze ubranego, dobrze odżywionego, który rozkładał rozkrojoną bulkę, dając do zrozumienia, że brakuje mu pieniędzy na masło. Ale były i tragiczne przypadki. Dwaj chłopcy, bracia, brudni i obdarci, upośledzeni fizycznie i umysłowo, dzień w dzień leżeli na chodniku jednej z ulic sajgońskich w słonecznej spiekocie. Oni nawet nie prosili o pomoc. Może nie potrafili, choć mieli przy sobie metalowe pojemniki przeznaczone na datki pieniężne. Niestety, niewielu przechodniów interesowało się ich losem.

Jeszcze inny obrazek. Przed jedną ze świątyni buddyjskich (pagód) szpaler siedzących osób obojga płci i w różnym wieku. Okazało się, że to żebracy proszący o pieniądze. Sięgnąłem do kieszeni. Wysuplałem z niej trochę monet. Widząc to, mało ruchliwe przedtem

postacie ożywiły się i poderwały w jednej chwili. Zostałem osaczony. Powstało zamieszanie. Obdzieliłem tylko część proszących. W miarę jak rozdzielałem pieniądze, pojawiała się coraz więcej żebraków. Wyrastali jak spod ziemi i stawali się coraz natrętniejsi. Trzeba było znikać. Nie bez trudu udało mi się wydostać z okrążenia. Oddalałem się ku wyraźnemu niezadowoleniu i rozczarowaniu tych, którym szczęście nie dopisało.

Poza żebrakami plagą stolicy byli złodzieje rekrutujący się m.in. ze zdemoralizowanych żołnierzy sajgońskich. Kradzieże, rabunki i rozboje były na porządku dziennym. Można było być okradzionym w biały dzień, w sposób przebiegły, podstępny i zuchwały. Ofiarami zazwyczaj padali cudzoziemcy. Do nagminnych należało działanie przestępcze wyspecjalizowanych dwojek motocyklowych. Polegało to na tym, że motocyklista podjeżdżał na swym motorze pod nic nie przeczuwającego przechodnia, czy też pasażera innego pojazdu, jego współnik zaś nagłym szarpnięciem zrywał z ręki ofiary zegarek, wrywał aparat fotograficzny, torbę z zawartością, po czym motocykl oddalał się w nieznanym, przeważnie odwrotnym kierunku. Niektórzy tracili swoje aparaty w czasie fotografowania. Każda interwencja w tych warunkach pozostawała spóźniona, tym bardziej że policja sajgońska w tych sprawach wykazywała wyjątkową obojętność.

Dziewczęta lekkich obyczajów upodobały sobie hotelowe kawiarnie i restauracje. Wieloletni pobyt w Wietnamie Amerykanów i trwająca wojna przyczyniły się do rozwoju prostytucji. Dolar podbijał serca i torował drogę do kobiecych wdzięków, łamał charaktery i poczucie godności kobiecej. Żołnierz płacił i wymagał od kobiety uległości, posłuszeństwa i oddania. Dziewczęta prezentowały się powabnie i kusząco. Na widok cudzoziemca reagowały jednoznacznie. Zachęcały do kontaktu uśmiechem, gestem, łamaną angielszczyzną zapraszały do domu lub do hotelu. W ogóle były delikatne w sposobie bycia. Wszystko obliczone było na pozyskanie klienta.

Sajgon, podobnie jak wiele miast azjatyckich, był brudny i zaniedbany. W mieście nie prowadzono żadnych inwestycji, nie modernizowano i nie remontowano istniejących obiektów, nie doskonalono urządzeń komunalnych, nie rozwijano budownictwa mieszkaniowego. Kraj był zajęty wojną, a po zawarciu rozejmu zastanawiano się nad usuwaniem jej skutków. O ile w centrum stolicy panował względny porządek, o tyle przedmieścia tonęły w śmieciach. Składano je na pobocza ulic lub od razu spalano. Chmury dymu spowijały znaczne przestrzenie atmosfery. Mdły odór z gnijących odpadów unosił się nad osiedlami mieszkalnymi. Składowiska śmieci stanowiły pożywkę dla much i innych owadów – nosicieli chorób zakaźnych. Zgłodniałe psy miały również w tym swój udział, wywlekając ze śmieci resztki pożywienia.

Sajgon pozostał w mojej pamięci miastem kontrastów. Na jego przedmieściach w sklepionych z byle czego domostwach koncentrowała się bieda. Obdarcy i niedożywieni ludzie snuli się poboczami wąskich ulic. Zaniedbane dzieci na miejsce zabaw upodobały sobie chodniki, czasem pobliskie skwery. Przy zabudowaniach mieszkalnych rozlokowały się drobne warsztaty, stragany z owocami i warzywami. Tu i ówdzie prosperował sklepik z artykułami spożywczymi. Obraz ten uzupełniały drobne jadalnie. W centrum miasta, nad rzeką Sajgon, jakby z wody wyrastały chaty na palach, tonące w zieleni palm. W zatokach morskich i stałych rozlewiskach rzek ludzie zamieszkiwali dżonki lub inne zadaszone łodzie zacumowane przy brzegach. Tak mieszkała biedota. Tymczasem zamożni obywatele miasta mieli murowane wielopiętrowe domy, natomiast milionerzy – luksusowe wille.

Sajgon przecina nie tylko rzeka, ale także czynna linia kolejowa. Pociągi toczą się wąskimi ulicami, obustronnie zabudowanymi. Pomiędzy jednym a drugim przejazdem pociągu na torach tętniło życie. Dorośli wykonywali różnego rodzaju czynności, dzieci bawiły się, odrabiały lekcje, spożywały posiłki. Między szynami biegały zwierzęta domowe. Przeciągły gwizd lokomotywy obwieszczał nadejście pociągu. Na ten czas wszystko co żyło opuszczało tory, dróżnicy zamykali zapory, ostrzegając o niebezpieczeństwie. Pociąg przetaczał się z łoskotem, po czym życie ponownie wracało na tory. I tak codziennie.

Cholon – to jedna z dzielnic Sajgonu, zamieszkała przeważnie przez Chińczyków. Z tego powodu nazywano ją potocznie dzielnicą chińską. Była to najbogatsza część miasta, zupełnie inny świat. Tu kontrasty były największe. Bogactwo przytłaczało ubóstwo, sprawiając wrażenie, że wszyscy żyją na najwyższym poziomie. Tu i domy ładniejsze, i ulice schludniejsze, i sklepy bogatsze. W sklepach pełno wyrobów ze złota, platyny, srebra. Na wystawach żółciło się od biżuterii. Mogłoby się wydawać, że całe zapasy kosztowności wyłożono na widok publiczny. Oferta istotnie frapująca.

W Wietnamie religią dominującą jest buddyzm. W każdej pagodzie spotyka się posąg uśmiechniętego Buddy – twórcy owej religii i proroka. Do każdej z nich wiodą schody obramowane rzeźbami pozłaczanych smoków. Obrzędy religijne są skromne. Następne miejsce zajmuje religia katolicka, o czym świadczą rozsiane po kraju kościoły. Wiele z nich znajduje się w Sajgonie. To spuścizna kolonializmu francuskiego. W kraju tym przez dziesiątki lat Francuzi krzewili swoją kulturę i obyczaje.

Do kraju wracaliśmy również samolotem czarterowym Polskich Linii Lotniczych, tą samą trasą. Kończył się 9-miesięczny pobyt w Wietnamie Południowym. Była jesień – październik 1973 roku. Przebyłem tam i z powrotem łącznie około 24 tys. km. Tak jak w Wietnamie trzeba było aklimatyzować się w kraju ojczystym.

Długo pozostawałem pod wrażeniem Wietnamu – jego ludzi, klimatu i przyrody. Pozostało w mojej pamięci piękne nadmorskie wybrzeże. Urzekały zwłaszcza stożkowate wyspy podobne do kretowisk, zabudowane u podnóża chatami tonącymi w tropikalnej roślinności, np. w rejonie nadmorskiego kurortu Nha Trang lub portu Da Nang. Pełna uroku jest delta Mekongu w rejonie miast Can Tho i My Tho, szczególnie potężny jej nurt i brzegi zabudowane chatami na palach i porośłe bujną roślinnością. Zdumiewają w tamtej strefie geograficznej sosny, jakże podobne do naszych, w rejonie wysokogórskiego miasteczka Da Lat, gdzie klimat w niczym nie przypomina tropikalnego. Uroki tego kraju można mnożyć.

Rozejm w Wietnamie trwał jeszcze niewiele ponad rok. Po ewakuacji wojsk amerykańskich władze sajgońskie straciły swoje militarne zaplecze i stały się niezdolne do utrzymania swojego terytorium. Na podstawie informacji docierających stamtąd do Polski, czuło się bliski koniec podziału Wietnamu. Tak też się stało. Z północy wyszło potężne uderzenie wojsk Frontu Wyzwolenia Narodowego i ówczesnej Demokratycznej Republiki Wietnamu (Wietnamu Północnego), które w krótkim czasie opanowały całe terytorium Wietnamu Południowego. Rozpoczął się proces integracji obydwu części tego kraju. Nastąpił prawdziwy koniec wojny wietnamskiej.